

Z różnych dróg



ELIZA ORZESZKOWA

Z różnych dróg

Wiele już lat upłynęło, odkąd siostra Klara zamknęła życie w dwu wyrazach: modlitwa i miłosierdzie, do szczeru wyrzuciła z siebie pojęcia: ja i szczęście, a zastąpiła je innemi: Bóg i poświęcenie.

Wiele lat upłynęło, odkąd z niwy życia nie zrywała kwiatów innych, jak te uśmiechy ulgi, które pod jej ręką i wejrzeniem rozkwitały na łóżach sal szpitalnych, i te mistyczne wonie nieba, które spływały w nią niekiedy z wielkich i rozmodlonych ciszy kaplicy i celi klasztornej. Już od trudów i bezsenności zeszczuplały jej rysy okryły się bladeścią tak przezroczystą, że w głębokim cieniu kornetu podobne były do delikatnie wyrzeźbionego opłatka; już pamięć jej po brzegi wypełniła się wspomnieniami nędz ludzkich i ofiar, z własnych sił ducha i ciała czynionych, a nigdy jeszcze tak, jak dnia tego, dusza jej wstrząśniętą i wola silnie wytężoną nie była. Kiedy obok towarzyszącej jej siostry Benigny szła po gładkim chodniku ulicy, wielkie miasto kipiało dokoła ruchem i gwarem pogodnej godziny przedwieczornej. W turkocie kół niezliczonych, w migotaniu ubiorów różnobarwnych, oczu błyszczących, ust śmiejących się i rozgadanych, siostra Klara szła krokiem cichym, prędkim, z sercem ściśniętym i strwożonym, z bezustanną myślą o tem, co przeżyła nocy ubiegłej, i o tem, co wnet przeżyć będzie musiała.

Przez całą noc ubiegłą głowa kobieca młoda jeszcze, wynędzniała strasznie, w gęstwinie włosów czarnych, jak w ponurej chmurze, rzucała się przed jej oczyma na poduszce szpitalnego łóża, ręce bezkrwiste, z palcami wyschłymi, jak piszczele, wyciągały się ku niej, a głos, wychodzący z piersi dyszącej ciężko, z ust, których pięknej linii nawet męki przedśmiertne zatrzeć nie zdołały, mówił, szeptał, chrząkał:

— Pójdź, siostrze, do niego! pójdź, proszę, aby przebaczył, aby powiedział ci, że przebacza, bo musiał cierpieć wiele... teraz rozumiem, ile cierpiał, gdy sama... O Boże, ale ja nietylko o przebaczenie chcę go błagać... Ty, siostrze, może złęknieś się, gdy powiem, jaką prośbę... To rzecz niesłychana, potworna, aby ktoś, co tak zawinił, śmiał jeszcze taką prośbę... ale ja innej ucieczki nie mam... ja z tym strasznym niepokojem o nią umrzeć nie mogę... spróbuję... może przez miłosierdzie... Idź, siostrze, proszę. Powiedz, że ona niczem nie winna, taka mała, śliczna, opuszczona... Widziałaś ją wczoraj! Prawda, że anioł? Robak małeńki, po którym wszyscy deptać będą... Ale ty, siostrze, nic nie wiesz. Nie możesz zrozumieć, czego chcę od ciebie... od niego! Nachyl się, posłuchaj, abys wiedziała, jak Pan Bóg karze...

Plączem zaniosła się, a potem dokończyła:

— I co jemu powiedzieć... jak go prosić...

Ręce prawie trupie tak ją za habit pociągnęły, że musiała przy łóżku uklęknąć. Musiała też często pochylać ucho ku twarzy chorej, aby dosłyszeć, co mówiła. W sali szpitalnej lampa nocna dogasała, sen zamykał powieki tym nawet, którzy najsrożej cierpieli, świt zaglądał do okien, krople potu występowały na czoło siostry Klary, a chora mówiła jeszcze, opowiadała, skarżyła się na los swój, na ludzi, na samą siebie, coraz mniej przytomna, z coraz więcej wikłającymi się na ustach wyrazami, czasem rozrzewniona aż do płaczów głębokich i długich, czasem rozjątrzona aż do przekleństw, miotanych na bieg życia, na serce własne, na człowieka, który znęcił ją widmem szczęścia niezmiernego, a potem rzucił w otchłań niedoli bezdennej. Ale cokolwiek i jakkolwiek mówiła, jak kolec, ciąglem kluciem przypominający się sercu, na usta jej powracał wyraz: ona! I zaraz potem prośba, pełna oddechów buchających żarem i spojrzeń zalanych łzami.

— Pójdź do niego! pros! służebnicą Chrystusa jesteś, Chrystus rozkazał ratować ginących... powiedz mu, że Chrystus rozkazał przebaczać... że jawno grzesznicy przebaczył... że dzieci lubił... Niech zlituje się nad małym robakiem, podejmie z ziemi, aby zdeptanym nie był... Może to uczynić... gdyby chciał tylko! Bogaty! Widziałam go zdaleka... silny taki, zdrowy, ludzie kłaniają mu się... ze wszystkich stron kłaniają się... ani znać po nim jakiegokolwiek nieszczęścia... A ja! O Boże! Co tam ja! mniejsza już o mnie! Już dla mnie wszystko minęło... minęło...

Zapłakała znowu.

— Ale ona! ona! ta moja gwiazdka złota! Pójdź, siostrze, do niego. O niej mów, za nią pros! Opowiedz, jakam ja biedna i jaka ona mała, śliczna, niczemu nie winna...

Więc u schyłku dnia majowego, we wrzasku wielkiego miasta, w woniach rozkwitających po ogrodach akacji, w światłach zachodu, które kiedy niekiedy kładły różane smugi na śnieżną białą jej kornetu, szła — do niego. Obok niej barczystsza i czerstwiejsza siostra Benigna dreptała, milcząc i podnosząc czasem na towarzyszkę dobre, pytające oczy. Ale delikatne wargi siostry Klary ściśle były zamknięte. Nie mogła zdradzić tajemnicy cudzej, musiała sama, o własnych siłach, podźwignąć krzyż obowiązku i miłosierdzia.

Bo był to krzyż. Na myśl, czyj próg przestąpi, do kogo mówić będzie, ogarniały ją trwoga, zawstydzenie, nade wszystko zaś odraza, z którą walczyła nadaremnie, zwalczyć jej nie mogąc. Wiedziała, że nikogo sądzić ani potępiać nie powinna, więc walczyła z odrazą, która niemniej tała się w sercu i niepokoiła ją uczuciem popełnianego grzechu. Powołanie jej i obowiązki, które pełniła, wprowadzały ją często w stosunki z ludźmi; imię też człowieka tego, słynne z talentu, rozumu i energii, wprzód już parę razy o słuch jej się obilo. Nic złego nie słyszała o nim, ale wiedziała, że żyje zanurzony w tym duchowym zamęciu, w tych gęstych mgłach, które teraz przed ludźmi zasłaniają niebo. Należy też zapewne do tych, którzy myślą zuchwałą, życiem, oddanem samolubnym sprawom i rozkoszom, powiększając ten zamęt i te mgły czynią coraz ciemniejszymi.

Rozum! talent! Czyliż zawsze są one pochodniami, przyświecającymi stopom ludzkim, aby nie schodziły ze ścieżek, wykreślonych przez mądrość i wolę Boga? Bywają też często — w jego ręku są może również — żuźłami, wznecającymi w duszach pożary zwątpienia i buntu. Co pewna, to że był światowcem, dzielącym życie pomiędzy pracę, dostarczającą mu bogactwa i sławy, a uciechami, które świat karmi zmysły i próżność ulubieńców swoich i losu. Słyszała, że żyje w zbytku, otoczony tem pięknem, które pieści zmysły i prowadzi do ubóstwienia materii i jej twórców. Wieczne obieganie koła interesów doczesnych, wieczne schlebienie podniebieniu cielesnemu, gwar, tłum, chwalba ludzka — oto atmosfera, którą oddycha, pokarm, którym się odżywia dusza ta — jakże pewno zadowolona i dumna! Tryumfator, pewnie pyszałek, jeden z tych, którym powiodło się wedle ludzi... ale wedle Boga? »Biada wam, bogaczom, bo macie już pociechę waszą«. Zresztą niech Bóg go sądzi.

Lecz co siostrze Klarze wydaje się zupełnie pewnym, to, że za chwilę on i ona zejść się z sobą z dróg tak niezmiernie różnych, jak gdyby nie na jednym planecie wykreślonymi były. Drogi te są tak niepodobne do siebie, że pomiędzy tymi, którzy nimi postępują, istnieć musi przepaść niepodobieństw. Jakże ona, zakonnica pokorna i w język światowy niewprawna, mówić będzie z tym człowiekiem, któremu „ze wszystkich stron kłaniają się ludzie”, którego mowa jest zapewne zgrabną służebnicą wykrętnej myśli!

W imię Boga tylko przemawiając, czy przekona tego, który może w Boga nie wierzy? Ażeby dopiąć zamierzonego celu: umierającą pocieszyć i niewinne dziecię od zguby uratować, pragnęłaby już nawet przemówić językiem tego świata, do którego on należy, ale — nie potrafi, zapomniała go i nie jest pewna, czy godzi się surową myśl bożą o miłosierdziu owijać w ponętne haftowane woale światowe? Jakże więc zdołają zrozumieć się nawzajem i u gorejącego słupa ofiary zgodnie zejść się — z tak różnych dróg?...

Jednak i on doświadczył raz nieszczęścia; palec boży dotknął go — był karą czy przestroga. Ale czy silnie uczył to dotknięcie? rzecz wątpliwa. Z tych, którzy lekko ślizgają się po powierzchni życia, lekko też ześlizgują się ciosy życia. Kto nie zstępuje we własne głębie, do tego głębi nic także nie przenika. Jeżeli fatalny ten wypadek zadał mu ranę, to pewnie zagoiła ją już oddawna maść, złożona z miłego na sposób różny przepędzania czasu, z podróży ciekawych, sprzętów pięknych, kto wie? może z tych samych uczuć,

które lekkomyślna stopa tej nieszczęśliwej zdeptała, a dłoń innej na nowo roznieciła, bo wszakże czynił starania o otrzymanie rozwodu...

Siostra Klara słyszała o tem i teraz myślała, że, niepamiętny na krzywdę, zrzędzona tamtej, chciał z inną iść do ołtarza. Tak, krzywdę: bo siostra Klara nie może obronić się myśli, że występki tej kobiety nietylko na jej, lecz i na jego sumienie spadać powinien. Była tak młodą! On, starszy, posiadał więcej doświadczenia i wiedzy; dlaczego nie przeniknął, nie odgadł, nie zapobiegł, nie ustrzegł? Może nawet pychą i niewiarą swoją zatrul jej duszę, przykładem pogoni za uciechami światowemi popchnął ją na manowce! Gdybyż tę winę swoją chciał zrozumieć i uznać! Przebaczyłby może umierającej i spełnił jej prośbę. Lecz zaledwie podobna przypuszczać, aby stać się to mogło. „Azaliż z cierni zbierają jagody winne, albo z octu figi?”

Pycha zaślepia. Uciechy światowe — to kurzawa, która przed człowiekiem zasłania płamy jego duszy. Tylko pokornym i cnotliwym Bóg pozwala w nurtach sumienia wyławiać perłę skruchy. Jednak łaska boża wszędzie i zawsze działalną być może i jej to na pomoc wzywa siostra Klara, wstępując na ozdobne wschody pięknego domu. Ona sama nic nie może. „Nie możesz uczynić jednego włosa czarnym albo białym”. Modli się więc w duchu. Błaga Boga o światło i natchnienie; krótka modlitwa i uczucie obowiązku wzniecają w niej śmiałość. Śmiało też, choć delikatnie, przyciska palcem guzik dzwonka u drzwi, na których oczy jej machinalnie wyczytują napis: Czesław Zanimirski.

Przez otwarte drzwi gabinetu widać pokój jadalny, z ciężkim stołem gdańskim pośrodku i zwieszającym się nad nim, równie jak on staroświeckim, świecznikiem wieloramiennym. U ściany szafa także gdańska, ciężka, a leciuchną koronką rzeźby okryta, przepyszna. Od ciemnych ścian odbijają przytwierdzone do nich stare fajanse, Delfty, pochodzące z Holandyi, z malowidłem, które *en grisaille* przedstawia fantastyczne zwierzęta i rośliny.

Gdzieindziej ścianę przerzyna pas ciemnego drzewa: to zegar zamknięty w starożytnej szafce, tak wysokiej, że oblicze jej duże, postarzałe, spłowiałemi różami zwieńczone, prawie z pod sufitu spogląda na pokój, którego bogactwo kryje się pod surową zasłoną barw ciemnych i kształtów ciężkich. To samo w gabinecie. Z szafy bibliotecznej, której zgrabne kolumny, zwierciadlane szyby i długie szeregi książek prawie w zupełności jedną ze ścian zakrywają, z dużych popiersi dwu wielkich wieszczów, z rozwieszonych na ścianach starych sztychów i oryginalnych malarskich szkiców, z wielkiego biura, okrytego mnóstwem papierów, ze spłowiałego gobelinu, który delikatnymi barwami i mglistymi zarysami, jak rozpraszającym się marzeniem, napelnia róg pokoju, dobywa się jakaś atmosfera, woń, tchnienie, których siostra Klara zrazu wyrozumieć ani określić nie może. Służący wprowadził ją tu i poprosił, aby chwilę zaczekać raczyła.

Towarzyszka jej została w pokoju przyległym, a ona w gabinecie, który odrazu nazwała w myśli pracownią, usiadłszy na sprzęcie, najbliższej drzwi stojącym, oczekując na rozmowę, którą sam na sam z właścicielem tego mieszkania stoczyć musi, rozgląda się dokoła, myśli i czuje niejasne zdziwienie.

Wcale inaczej miejsce to wyobrażała sobie. Nie myślała o niem wiele, lecz gdy wejść tu miała, mimowolne działanie wyobraźni ukazywało jej połyski kruszców, jaskrawe barwy materii drogocennych, pozłoty, atlasy, poduszki nadziane puchem, obrazy, od których oczy jej uciekać będą musiały. Tymczasem jest tu trochę ciemno... bo sprzęty są ciemne i za oknami wisi zielona firanka drzew rozległego ogrodu. Bardzo też czysto.

Nic dziwnego. W mieszkaniu bogatego człowieka z góry już niepodobna było przypuszczać kurzu na sprzętach lub śmiecia na podłodze. Ale nie tę pierwotną czystość uczuwa siostra Klara. Jest to coś daleko subtelniejszego, idącego z ciszy, która tu panuje, z zieleni za oknami, z braku fraszek, puchów i tego nieporządku rzeczy, który maluje nierząd przyzwyczajęń. Płamy nietylko istnieć mogą na sprzętach, ale i unosić się w powietrzu. Tu nie czuć plam. Bardzo czysto. Przytem nic nie błyszczy, nie krzyczy, nie rzuca się w oczy z zuchwałstwem bogactwa, które samo w sobie stanowi cel i uciechę. Żadnych krzywizn, kaprysów i sprzeczności. Jak nuty muzyczne dla ucha, linie wybornie dobrane zlewają się dla oka w akord zgodny, trochę surowy, lecz przez to głęboki. Siostra Klara nie zdaje sobie jasnej sprawy z tego, czego doświadcza, ale jest to wrażenie miary

i harmonii. Długa chwila przeminęła, zanim przez myśl jej przewinęły się słowa: bardzo pięknie!

Nie знаła nazw, historii, ani pieniężnej ceny przedmiotów otaczających, lecz usłyszała wydawany przez nie akord piękna. Był to przytem taki akord, w który bez wahania wsłuchiwać się mogła, bo dobywał się z rzeczy wprawdzie materyalnych, lecz w których tkwił i do atmosfery przelewał się pierwiastek duchowy, lotny, coś, jakby modlitwa lub śpiew rzeczy niemych. Niedaleko drzwi, na brzegu fotelu siedząc, siostra Klara z zamyśleniem szepnęła:

— Pięknie!

W głębi duszy jej, pokorna i ukryta, gorzała iskra poezji, — bez tego mogłaby być tą poetką czynu, jaką jest siostra miłosierdzia? Więc wpatrując się w róg pokoju, napęczniony mglistymi barwami i zarysami starego gobelinu, z uśmiechem na białych ustach pomyślała:

— Jak uciekający sen!

Cicho. Do mieszkania, umieszczonego pomiędzy dużym dziedzińcem i rozległym ogrodem, gwar miasta dochodzi z oddali, słabo, przez prawo kontrastu pogłębiając jeszcze panującą tu ciszę. Wzamian miesza się z nią odgłos rozmowy, prowadzonej za paru zamkniętymi drzwiami przez kilka głosów męskich. Z brzmienia tych głosów odgadnąć można, że jest to narada, w której zdania krzyżują się i czasem ze sobą walczą. Raz jeden z rozmawiających podniósł nieco głos i wtedy z za ścian dźwiękiem stłumionym w ciszę gabinetu wpadły wyrazy:

— Jeżeli chcemy cel doścignąć...

Dalsze słowa utonęły w oddalonym szmerze głosów.

Wzrok siostry Klary tkwił w przedmiocie, przyozdabiającym róg wielkiego biura. Był nim krzak wrzosu, w majolikowym wazonie kwitnący, produkt hodowli cieplarnianej, w tem mieszkaniu wielkowiejskiem przypominający ustronie leśne i żółte piaski, ścielące się brzegami lasów.

Z za ścian, z głębi mieszkania, w zielony półcień, rzucany przez rosnące za oknami drzewa, wpadają znowu głośno wymówione słowa:

— To prawie niepodobieństwo...

I natychmiast przez inny głos wymówione:

— To obowiązek!

Potem ktoś tam głośno czytać zaczyna, a przy dochodzącym z za ścian szmerze czytającego głosu popiersia wieszczów patrzą w przestrzeń z zadumą w martwych oczach. Po kilku minutach szmer czytającego głosu milknie, natomiast kilka głosów razem wymawia:

— Brawo! brawo! To prawda! prawda!

Ktoś tam, za ścianami, święci tryumf podbicia dla myśli swej kilku umysłów innych. W zielonym półcieniu gabinetu rozlewa się liliowy uśmiech leśnego kwiatu, stary gobelin majaczy w rogu pokoju, jak znikające marzenie senne, z za drzwi zamkniętych dochodzi stąpanie po kobiercach i posadzce kilku par stóp męskich. Głosy rozmawiających stają się coraz bliższe i słowa, które wymawiają, wyraźniejsze.

— Przekonał pan nas zupełnie...

— Przedewszystkiem fundusze...

— I odpowiednie siły!

— Na kiedy posiedzenie?

— Zwlekać nie trzeba!

— Co się odwlecze, to — uciecze!

Stanęli w pokoju przyległym; w zmieszanych głosach rozróżnić można czasem wymawiane daty, cyfry, nazwiska. Idą znowu, drzwi otwierają się i przez gabinet przechodzi kilku ludzi różnych wzrostów i różnego wieku, z twarzami bardzo ożywionymi. Na widok siostry miłosierdzia wszyscy jednomyślnie składają przed nią ukłony pełne uszanowania głębokiego, lecz bez zdziwienia, bo należą do tych, którzy na świecie tak wiele widują i tak prawie wszystko znają, że prawie nic zadziwić ich nie może.

W przedpokoju rozmawiają jeszcze, a siostra Klara tymczasem przez drzwi, które po przejściu ich zostały otwarte, spogląda w głąb salonu, z którego znowu dobywa się tchnienie dla niej niespodziewane.

W głębi salonu ściany okrywają ramy duże i mniejsze, napełnione malowanymi twarzami, ubiorami, godłami. Jest to zbiór portretów, miniatur, emalii, z przedziwną delikatnością zdjętych ze starożytnych sygnetów. Pośrodku największych rozmiarów obraz, na którym rycerz, z twarzą cudnie piękną, wraz z koniem, którego dosiada, i wojskiem, któremu przewodzi, rzuca się w spienione fale Elstery. Nad tą sceną dramatyczną twarz królewska pod peruką upudrowaną patrzy z mdłym uśmiechem mdłej piersi, która dramatu uczuć nie jest zdolna. Na miniaturach migocą zdala ubiory pradziadów i prababek, z rzuconego na stronę stolika marsowo spogląda biały wiarus ze starej porcelany saskiej... a siostra Klara uczuwa lecącą od tego wszystkiego woń rzeczy dawno znanych, serdecznie pamiętanych, bliskich i drogich. Szczególniej od bladych rysów rycerza, wskazującego na koniu do spienionej rzeki, wieje ku niej przypomnienie dzieciństwa i pierwszych lat młodości. Taki sam obraz, w mniejszych tylko rozmiarach, znajdował się w dworku wiejskim, pod którego strzechą ujrzała światło dzienne; pamięta go, odkąd zaczęła rozróżniać przedmioty przez światło to oblewane, przypomina on jej oczy ojcowskie, które często na niego patrzyły, i ramiona matki także, które ją często ku niemu podnosiły.

Możeż to być, aby tu, w tem mieszkaniu, wpadła w nią iskra uczuć tak jej własnych, drogich, czystych, przez Boga samego nakazanych, z oczu ojcowskich, z ramion macierzyńskich wziętych? To tak, jak ten kwiat na biurku. Bo w pierwszej młodości jakże lubiła te pokorne wrzosa, liliową mgłą zaścielające mchy leśne i podleśne piaski! Żebyż mogła teraz, z wazonu tego zerwać kilka gałązek, zanieść je tej nieszczęsnej, dla której tu przyszła, i orzeźwiwszy ich świeżością oczy jej spieczone przez lzy i gorączkę, włożyć je w jej prawie trupie dłonie, jako widomy znak — przebaczenia.

Od zbląkanej tu rośliny leśnej wzrok jej odciąga blady rycerz na obrazie, a potem popiersie poety, którego marmurowe oczy przez drzwi otwarte patrzą na malowaną twarz bohatera.

Gdy Zanimirski, z wejrzeniem pytającym, składał przed zakonnice ukłon głęboki, jej się wydało, że ze snu ciepłego i miłego budzi ją obca i zimna rzeczywistość.

Tak samo, zupełnie tak samo wyobrażała go sobie: zadowolony z siebie i ze świata, pochłonięty sprawami świata, od stóp do głowy okryty piętnem światowej wytworności i pewności siebie. Wzrost miał średni, czoło jak u młodzieńca, gładkie i raźnie podniesione w górę, w ciemnych oczach blask silny i przenikliwy, na ustach uśmiech radości, którą tak napełnionym być musiał, że aż wydzieriała mu się na zewnątrz. Rysy twarzy, ściągłe i regularne, zaokrąglały się u dołu pod krótko ostrzyżoną brodą, co nadawało twarzy znamię dobrobytu i zdrowia fizycznego. Przed wyobraźnią siostry Klary pomimowoli stanęła kobieta wynędzniała, w bólach ciała i duszy przedwcześnie umierająca na szpitalnym łożu. Jakaż różnica! Z dwojga ludzi, którzy razem rozpoczynali życie, teraz, w połowie jego, jedno tak zdruzgotane, drugie tak kwitnące! Z dwojga współwinowajców... bo niezawodnie część winy na jego barkach spoczywa, tylko że on tego niewidzialnego ciężaru nie czuje w tryumfującej swej radości życia...

Na twarzy Zanimirskiego istotnie malowała się radość. Był także niezmiernie zajęty i mnóstwo myśli, napełniających mu głowę, mnóstwo zajęć, które na niego czekały, odgadnąć było można z nieprzewycięzonego zamyślenia, napełniającego oczy, z ruchów śpiesznych, jakimi przerzucał na biurku stosy papierów i ołówkiem na karcie papieru coś śpiesznie zapisywał. Potem zwrócił się ku gościowi i uprzejmym gestem ręki wskazał jeden z dwu fotelów, tuż przy biurku naprzeciw siebie umieszczonych. Ta ręka biała, z gestem wykwinnym, znowu przypomniła siostrze Klarze te prawie trupie ręce, na które tej nocy tak długo patrzyła. Niech Bóg ją wesprze! Ona do tego człowieka, tak strasznie i do niej, i do tamtej nieszczęsnej niepodobnego, w imię Boga mówić będzie!

— Słucham, siostro! Czem służyć mogę?

Delikatne wargi siostry Klary nie drżały, gdy przemówiła:

— Przychodzę od śmiertelnego łoża tej, której pan przed ołtarzem Boga ślubował miłość i wierność do śmierci. Dla miłości Chrystusa i przez posłuszeństwo Jego rozkazom przychodzę, aby powtórzyć panu ostatnie słowa i żądanie żony pana, Laury Zanimirskiej, kończącej żywot swój w naszym szpitalu.

Głos jej brzmiał odwagą duszy, która, przemawiając w imię zasady wyższej nad wszystko, nie lęka się niczego. Była przygotowaną do usłyszenia okrzyku nienawiści, do ujrzenia obrazu pogardy, może nawet do grubiańskiego gestu, słowa. Przeciw tym przewidywanym wybuchom człowieka obrażonego, najpewniej zawziętego i mściwego, miała napływający do myśli tłum wyrazów przekonywających i słodkich, jak przykazania Chrystusowe, a gdyby zaszła potrzeba, gromiących w imię Chrystusa. Lecz ani przewidywała, ani spodziewała się tego właśnie, co zaszło. Możliwyby mniemać, że słowa przez nią wyrzeczone były dla Zanimirskiego tym gromem, który w pobliżu człowieka padając, nie zabija go, lecz odejmuje mu słuch i mowę.

Wyglądał jak ogłuszony i oniemiały. Skóra i mięśnie twarzy zaczęły mu drgać, kurczyć się, ściągać, aż stanęła cała w zmarszczkach, jak w poprzeciąganych wszędzie na czole, policzkach, dokoła ust i oczu głębokich rysach bólesci. Plecy jego przygarbiły się, palce obejmujące poręcz fotelu zeszywniały, w oczach szeroko rozwartych uganiały się błędne światełka przerażenia.

— Laura... umierająca... w szpitalu!

Po tym szepcie zdławionym panowała w pokoju długa cisza, którą przerywało tylko ostre, krótkie ćwierkanie wróble za oknami.

Lecz niedarmo Czesław Zanimirski słyszał z energii, która dawała mu panowanie nad wielu sprawami i umysłami. Opanował teraz samego siebie. Wyprostował się, spojrzeniu nakazał spokój; tylko na twarzy pozostały zmarszczki, jak przez palec jakiś twardy wyżłobione rysy.

— Jakim sposobem? Skąd tu przybyła? Z czego umiera? Dlaczego... w szpitalu? Co się stało? Czy została opuszczona...

Wyrazy poczęły więznąć mu w gardle, zmusił się jednak do dokończenia:

— Przez tego, dla którego mnie... który wziął na siebie odpowiedzialność straszną? Czy... czy...

— Tak — rzekła siostra Klara.

Ręce Zanimirskiego, te białe, wytworne ręce ścisnęły się tak silnie, że można je było wziąć za symbol tego bólu, który czasem ścisną serce ludzkie jak w żelaznych kleszczach.

— Tak! więc tak! — przeciągle wymówił i głowa nisko opadła mu na dłonie.

Znowu wróble same jedne ostro, krótko ćwierkały wśród ciszy. Siostra Klara siedziała nieruchomo; z cienia kornetu oczy jej błękitne, jak niebo, spoglądały na spiorunowaną głowę człowieka z wyrazem czegoś niebieskiego: może litości anioła dla nędznych ludzkich.

— Przewidywałem to i dlatego czyniłem wszystkie możliwe starania, aby zwrócić jej wolność, dać możliwość jawnego, prawnego zaślubienia...

Teraz siostra Klara zawołała:

— Dlatego? W tym celu pan to czynił?

Podnosząc na nią zdziwione oczy, zapytał:

— W jakimżeby innym?

— Można było przypuszczać, że...

— Że dla siebie?

Po wargach trochę drżących przewinęła mu się ironia. Zcicha i powoli odpowiedział:

— Nie, siostrze; wiosna co roku wraca, lecz w zdruzgotaniu się szczęścia ludzkiego najokrutniejszym jest to, że wiara w jego możliwość powrócić nie może. Skoro uczucia znikają jak cienie, kruszą się jak glina, gniją jak materya, po cóż?... Dowiedziałem się, dowiedziałem się, jak wątłe są gmachy tego, kto je wznosi z trwałości uczuć ludzkich, i pragnąłem, o ile podobna, uchronić od runięcia ten, który ona sobie wzniosła, chociaż...

Uczył ręką gest zwątpienia.

— Chociaż i o tem wiedziałem, że była to biedna lepianka, którą z mułu ziemi zbudował wichur szalu... »Ażaliż zbierają z ciernia jagody winne?...«

— „Aż, gdy ślepy prowadzi ślepego, obadwa w dół nie wpadają?” — ze spuszczonego powiekami szepnęła zakonnica. Potem zcicha też zapytała:

— Więc pan troszczył się o jej przyszłość?

— I o jej duszę także — odpowiedział.

— O... duszę! — zawołała siostra Klara.

Zanimirski podniósł na nią spojrzenie aż do dna źrenic smutne i łagodnie rzekł:

— Czyliż ja tej kobiety nie poznałem dziewczeczką czystą, promienną... pąkiem kwiatu przedziwnie świeżym?... O, siostrze! Może niema na ziemi żalu tak gorzkiego, jak ten, gdy dusza, którą człowiek pokochał promienną — gaśnie! To jakby słońce gasło! Pragnąłem ratować bezpieczeństwo jej losu i blask jej duszy. Ale zniknęła. Pięć lat nie wiedziałem, gdzie się znajduje i co się z nią dzieje. Bez niej zaś nic uczynić nie mogłem. I stało się! Nie zapobiegłem niczemu. Nie powstrzymałem biegu tragedii. Nie odwróciłem od niej kary, czy pokuty, która na nią jedną spadła za winę jej i... moją!

— I pana winę?

W zapytaniu tem było tyle zdziwienia, siostra Klara tak dalece nie oczekiwała tego przyznania się do winy, że Zanimirski podniósł na nią zdziwione także oczy i znowu ironia przewinęła mu się po ustach.

— Bierzesz mię siostrze za człowieka, który nigdy we własne głębie nie zstępuje. Na powierzchni sumienia, w warstwach jego najpłytszych znajdują się grube winy cielesnych morderstw i grabieży, lecz daleko głębiej szukają skaz swoich ci, którzy wszystkim, oprócz samych siebie, wydają się nieskazitelni. Należę do takich. Na czci i sumieniu mojem nikt skazy nie dostrzega — oprócz mnie samego. Tylko, że zapóźno je dostrzegłem. Nie należę do tych, którzy tak lekko ślizgają się po powierzchni życia, że lekko także ześlizgują się z nich ciosy życia. Gdy ten uderzył we mnie, w ogniu męki serdecznej objawiła mi się prawda. Ma się rozumieć, siostrze, ma się rozumieć, że byłem także winowajcą!

— Jakim sposobem?

Milczał chwilę, zbierał myśli i słowa, które może rozpraszał płomień serdecznej męki. Potem zaczął:

— Może zbyt długo zatrzymuję cię, siostrze... może czasu masz mało... Nie skłonny do zwierzeń... serce mam milczące. Dla pracy rąk i głowy towarzyszy jest wielu, ale dla tej, która odbywa się w głębi — nikogo. W świecie, pomiędzy ludźmi, mówię wiele... tu, w tej ciszy, nieprawdą, że prawie klasztornej? bywa ze mną tylko ona — ta cisza... Jednak pragnąłem czasem jakiejś duszy dobrej, anielskiej... takiej jak ty, siostrze... ach, jak czasem pragnę dobrej siostry... Lecz to jest zawsze...

Wskazał spojrzeniem na stary gobelin w rogu pokoju.

— Takie uciekające marzenie... Nikogo swego! Bo, siostrze, ludzie sobie duszą w duszę nie patrzą nigdy... Zawsze tylko powierzchnia... powierzchnia...

Pochylony nieco, z twarzą na dłoni, podnosił ku bladej twarzy i spuszczonej powiekom zakonnicy wzrok prawie dziecinny, tak pokorny i ufny.

— Rzecz prosta — mówił. — Na krzywych i ciasnych podstawach my marni ludzie wznosimy gmachy nasze, więc też i marnie dachy ich spadają nam na głowy. Byłem jak inni. Kochałem żar jej źrenic, purpurę ust, słodycz obejścia się, dowcip rozmowy, powierzchnię, powierzchnię, z której, jak pszczoła z kwiatu, zbierając miody, mniemałem, że płacę sowności, gdy nawzajem powierzchnię swoją jej do kochania oddaję. To bardzo powszechne. Rzecz sprowadza się do używania — tylko! To bardzo elementarne, bardzo materialne, a poezja na tę nagość zarzuca zasłonę, czyniącą złudzenie, że tam jest coś więcej, wyżej... tak leciuchną, że gdy orkan namiętności zadmie...

Uczył ręką gest lekceważący.

— Albo zefirek nudy powieje...

Nizko pochylił głowę.

— Gdy się to stało, spostrzegłem, że zaniedbałem duszę tej kobiety, że właściwie nie myślałem o niej nigdy. Jakie tony wywoływały w niej dotknięcia świata? Jakie czały się i czyhały potrzeby, pokusy? Gdzie były utajone źródła jej słabości i siły? Któż kiedykolwiek rzeczy takich ciekaw? Życie, jak strumień wartki z korytem po brzegi pełnym, kipi, pędzi! Zajęcia, zabawy, nadzieje, niepokoje! Godziny i dnie topnieją, jak mgła w upalnym słońcu. Czasu niema. Na zstępowanie w głębie istoty kochanej czasu niema! Jądro rzeczy, samo jądro kochania niewidzialnym pozostaje za osłoną z ponętnej przędzy. Przędzę też przebijają robak i jądro przegryza, a człowiek kochający... cha, cha, cha!... kochający! nie spostrzega, nie zapobiega, nie ratuje! a przecież — kocha! Lecz ślepcyśmy! Gdy zaś „ślepy ślepego prowadzi, a zań obadwa w dół nie wpadają?” Moja wina! moja wina!

Wyprostował się i śpiesznie pytać zaczął:

— Więc bardzo chora? Czy wiele cierpi? Jaka to choroba? Możeby ratunek... Wzrok mu zabłysnął. Zrywał się do czynu: prędej, prędej do czynu!

— Lekarzy? Pieniędzy? Może zmiana klimatu...

Siostra Klara przecząco wstrząsała głową.

— Nie. Nic już... nic. Kwestya kilku, paru dni...

W oczach uczuła mgłę wilgotną na widok głowy tego człowieka, która nisko na dłonie opadła, szepcząc:

— Biedna! biedna! biedna!

Po chwili zapytał:

— Mówiłaś, siostrze, że ma jakieś żądania...

— Jedno tylko, lecz tak ważne i... śmiało...

Zawahała się. Teraz dopiero uczuła, że to śmiałe żądanie może być także i okrutnem. Okrutnym był gwałt, który samej sobie zadać miała, aby dziewczemii usta poruszyć te męty życia. Lecz on go jej oszczędził. Patrzył na błądliwy rumieniec, który opłynął jej policzki, na drżenie wstrząsające wargami, myślał chwilę i zapytał:

— Czy kogo osieroca?

Jakim sposobem, jakim sposobem odgadł pomysł tak dziwny i zuchwały, że powstać mógł tylko w gorączce, w rozpacz, w zgryzocie sumienia, oko w oko ze śmiercią? Odgadł jednak. Siostra Klara szepnęła:

— Małeństwo biedne... dziewczątka malutkie... zagrożone nędzą i zgubą!

Była chwila milczenia. Zanimirski, patrząc na zakonnicę, przemówił:

— Nic więcej nie mów, siostrze. Wiem...

Ruchem porywczym wstał z fotelu; siostrze Klarze wydało się, że rysy jego zaostrzyły się i stwardniały. Odwrócił się, przeszedł pokój i stanął, zwrócony do okna w sposób taki, że profil jego uwypuklił się na tle szyby i zielonej za nią zasłony, ostry i twardy, jakby kamienny.

Minuty płynęły. Zakonnica z pochyloną głową myślała, że Bóg kazał jej dziś być świadkiem walki ciężkiej, toczącej się w duszy człowieczej. W myśli jej, niewiedzieć skąd, powstały dwa wyrazy:

— W pięknej duszy!

Zaczęła modlić się:

— Boże! wesprzyj twój szlachetny i cierpiący!

Już pomiędzy nędzarką ze szpitalnego łóżka a człowiekiem, który pędził życie w tem pięknym mieszkaniu i w gwarze światowym, nie spostrzegła kontrastu oburzącego.

— Nieprzebranemi w różnaitości swej są, o panie, te drogi, któremi stworzenia swe prowadzisz wśród nędz i smutków ziemi!

Minuty płynęły. W przyległym pokoju zegar zaczął uderzać godzinę. Z pod sufitu, od starego oblicza, zwieńczonego zbladłemi różami, płynęły zwolna dźwięki basowe i przewlekłe. Fala melancholii przepływała to mieszkanie, w którego ciszę, z za zielonej firanki liści, wpływać zaczęły różane światła zachodzącego słońca.

Siostra Klara pomyślała:

— Jak w klasztorze!

A potem jeszcze:

— Duch, kędy chce, tchnie.

Zanimirski odwrócił się od okna, postąpił parę kroków i, stając przed zakonnicą, wielkiem biurkiem z nią rozdzielony, zapytał:

— Gdzie się znajduje?

Podniosła oczy niepewne, czy trwożyć się mają, albo radować, lecz nie spotkała się z jego wejrzeniem. Powieki miał spuszczone; był bardzo błądliwy, w palcach trochę drżących trzymał ołówki.

— Adres? — zapytał jeszcze.

Wymieniła nazwę uliczki nędznej i gminne nazwisko ludzi, które on szybko zapisał na kartce, a potem mówić zaczął:

— Powiedz jej, siostrze, że uczynię, czego żąda, że uczynię wszystko, cokolwiek jest w mocy mojej. Niech będzie spokojną... Niechaj tej nocy spokojnie usnie. Jutro... O której godzinie, siostrze, chorych waszych odwiedzać można? Jutro przyjdę do niej, powiem, co obmyślę, jak ze zleceniem jej postąpię... i prosić ją będę, aby sumienie i serce jej nie trwożyło się, ani tem, co uczyniła, ani tem, co pozostawia. W miarę, jak mówił, siostra

Klara podnosiła się z siedzenia, z oczyma rozbłysłymi od radości i ze śpiewającymi w myśli słowami:

— „Ujrzycie niebo otworzone i anioły boże”...

Ale werset biblijny przerwało jej zdziwienie. Co się stało? Skąd w człowieku tym zmiana tak nagle? Z twarzy jego zniknęły zmarszczki, czoło znowu stało się, jak przedtem, gładkie i wypogodzone, spojrzenie ciemnych źrenic, kędyś w przestrzeń tkwiące, pełne było radości cichej, lecz słodkimi kroplami sączącej się z samego dna jego istoty. Ręce siostry Klary splatały się ruchem powolnym, w myśli, jak hymn, brzmiały słowa:

— Ujrzycie niebo otworzone i anioły boże wstępujące i zstępujące«... Aż duch człowieka tego nie wstąpił na wysokości niebieskie i nie zstąpił z nich ku ziemskim nędzom, jak anioł boży?

Z oczyma oszklonemi łzami mówić zaczęła:

— Wiem już teraz, odgaduję... Bóg dał mi poznać źródło radości i tryumfów pana. Takim, jak w tej chwili, widziałam pana przed rozpoczęciem się rozmowy naszej. Zapewne i wtedy...

— O, nic wielkiego! — przerwał spiesznie i z uśmiechem — zupełnie nic wielkiego! Trochę tylko odepchnąłem ludzi od samych siebie... Bo ludzie, siostrze, ogromnie lgną do samych siebie, i trzeba czasem jedną ręką odrywać ich od tego najwyższego przedmiotu ukochania, a drugą wskazywać coś innego!...

— Coś innego? co? — zapytała zakonnica.

— Nędze ludzkie i idee boskie — odpowiedział.

Rozmawiali stojąc, wielkim biurem rozdzieleni. Światła zachodu, coraz natarczywiej wdzierając się przez zielone liście, coraz obficie usypywały mieszkanie. Pełno złotych strzał i rubinowych kropel było teraz na marmurowych popiersiach wieszczów, w szklach osłaniających książki i sztychy, na papierach okrywających biuro. Po tych papierach przesunęły się oczy zakonnicy.

— Praca! — pomyślała.

A głośno powtórzyła:

— Idee boskie!

— Tak, siostrze — odpowiedział. — I cóżbyśmy nieszczęśni poczęli na ziemi, gdyby nie te gwiazdy na niebie naszym zapalone? Kiedy kruszy się i z pod stóp nam umyka statek własnego szczęścia, ich promieni czepiamy się rękoma zrozpaczonemi i ich tylko światło rozprasza nasze ciemności!...

— „Światło świata” — szepnęła siostra Klara.

W tejże chwili w głębi salonu wybuchnęło ognisko światła tak wielkie, że przyciągnęło ku sobie oczy obojga rozmawiających. To od zachodzącego słońca ogromna luna czerwono-złota zwalczyła nakoniec zaporę z liści i padła na okrywające ścianę obrazy. Teraz dopiero, w tej lunie, zapalały ramy złożone, zaiskrzyły się na miniaturach barwy ubrań pradziadów i prababek, emalie sygnetów zaświeciły tarczami, krzyżami; zaś najwyższy i najwypuklejszy — błądzący rycerz na koniu z nad spienionej rzeki oczyma rozplómiionemi patrzył prosto w dwie pary oczu, jednomyślnie na niego patrzących.

Teraz siostra Klara słyszała wyraźnie ten śpiew zaświatowy, którym rzeczy martwe napaja czasem duch człowieka, kierowany duchem bożym. Były to szelesty skrzydeł niewidzialnych, szmery płomieni, gorejących przed niewidzialnymi ołtarzami. W jej własnym sercu rozlewała się radość anioła, który unosi ku niebu duszę ludzką do niego samego bardzo podobną. Z uśmiechem, skupiającym w sobie tę radość, przemówiła:

— Trzeba mi już iść! Trzeba mi copędzej zanieść poselstwo radosne...

Wtem spojrzenie jej upadło na wznoszący się w rogu biura krzak kwitnącego wrzosu. W smudze słonecznej płonącej, zdawał się być zablakana tu z daleka strofą polnej pieśni.

— Miły kwiat! Jakże go zbliżka znałam w dniach dzieciństwa i młodości.

Zanimirski wyciągnął rękę, spiesznie delikatne gałązki zrywać zaczął, a potem siostrze Klarze podał ze słowami:

— Zanieś jej, siostrze, te kwiaty, które nieraz zrywaliśmy wspólnie w zaraniu miłości naszej... biednej!

Z takim wyrazem oczu, z jakim człowiek spogląda w otchłanie, dodał:

— Wszystko zaczyna się w uśmiechach, a kończy się w łzach!

Zakonnica, z kwiatami w białych rękach, stała w smudze światła, którego różane krople migotały na jej czarnym habicie i białym kornecie.

— Trzeba mi już iść! — powtórzyła, lecz nie odchodziła. Doświadczała uczucia czegoś jeszcze nie spełnionego. Tak; nie wymówiła ani razu słowa: przebaczenie. I już nie wymówi. O Bogu także nie mówiła wcale i mówić nie będzie. Czuje tu obecność bożą...

Z ukłonem pożegnalnym rzekła:

— Bóg niech zawsze będzie z panem!

Nizko pochylając głowę, odpowiedział:

— Módl się, siostrze, za tych, nad którymi w nocie bezsenne nie czuwa miłosierdzie niczyje...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/z-roznych-drog/>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Chwile*, nakład Genethnera i Wolffa, Warszawa 1901.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybówie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0672-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).